

Krzysztof Zarewicz

Wśród pożaru rewolucji

60 lat temu

„Robotnicy! Zbliża się dzień 1 Maja — wielkie święto robotnicze. Piętnaście już razy polski lud roboczy stawał na hasło majowe... W tym roku święto majowe wschodzi wśród pożaru rewolucji robotniczej w naszym kraju i w całym państwie carów. Bracia! Po tych trupach, które padły w Petersburgu, Warszawie, Łodzi, Dąbrowie, nie masz już dla nas innej drogi, jak kończyć rozpoczętą rewolucję.

Nie masz dla nas żadnej nadziei polepszenia naszej nędznej doli, zdobycia ośmiogodzinnego dnia roboczego, póki nie zwalimy w gruzu krwiożerczego samowładztwa...”

Płomienne słowa 1-Majowej odezwy Zarządu Głównego SDKPiL padały w gorących dniach Rewolucji 1905 roku na wzburzone, rozgorączkowane tłumy proletariatu, porywały do wystąpień, do walki — o chleb, o prawa, o wyzwolenie. Ukazywały cele i drogę ku nim wiodącą.

„Wziąwszy pod połę nieodłącznej, sakramentalnej peleryny paczkę odezw majowych, wybiegłem na ulicę — opisywał na łamach pisma „Z pola walki” młody agitator poranne godziny 1 Maja w Warszawie. — W dzielnicach burżuazyjnych były pustki — pozamykane bramy i nieliczni, spiesznym krokiem idący przez ulice przechodnie... Obrazu dopełniały patrole piesze i zwłaszcza konne, które pędziły poprzecz na wprost wymarłe ulice. Co pewien czas wyjmowałem zza poły peleryny odezwę i podrzucałem tak, by dostała się w czyjeś ręce.

„Udałem się co prędzej w dzielnicę robotniczą... Przed bramami stały tu i ówdzie niewielkie grupki robotników i z ożywieniem rozprawiali o obchodzie majowym. Zbliżyłem się do jednej z takich grup robotniczych na ulicy Wroniej... Ledwie wyciągnąłem odezwę, zbiegło się — nie wiedzieć skąd — wielu nowych robotników... Powstała zaimprowi zowdna masówka...”

Czy wtedy, gdy rozdawałem odezwę, czy też, gdy przemawiałem do zebranej garstki robotniczy — przejechał przez ulicę patrol złożony z kilku żołnierzy czy kozaków. Dostrzegli oni, rzecz prosta, naszą grupę i zwolnili biegu, gdy nas mijali. Nie wiem, czy zdążyli się zorientować, że w grupie robotniczej znajduje się inteligent bo robotnicy w jednej chwili zasłonili mnie i stanęli w pozycji wyciekającej, zwróceniu twarzami do kozaków. Ci zaś spojrzeli w milczeniu po robotniczych i nie odezwawszy się słowem pognali dalej...”

Pochód ruszył. Zwartymi szeregami. Robotnicy, kobiety, dzieci, studenci, starcy. Na czele pochodu powiało dziesięć czerwonych sztandarów. Osiem sztandarów SDKPiL i jeden Organizacji Młodzieży Socjaldemokratycznej. Kobiety wymachiwały czerwonymi chustkami, mali chłopcy zawieszali na kijkach kawałki czerwonej tkaniny, unosząc je jak tylko mogli wysoko w górę — jak proporczyki.

Pochód szedł. Szedł śpiewając „Czerwony Sztandar” i „Warszawiankę”. Szedł z okrzykami, żądając ośmiogodzinnego dnia roboczego, republiki demokratycznej, pokoju, socjalizmu. Szedł — i rósł w siłę.

Dokończenie na str. 2

pamiętam maj
czerwony maj
ze sztandarami
krwią i krzykiem

pamiętam maj
i pierwszy strzał
w alei
przed pomnikiem
i tłum jak mur
co się w historii
kartki wdarł

słońce
odmierza
cegły
pnie się
jak powój
do góry
będzie niedługo
w twym oknie
będzie niedługo
za murem

pamiętam maj
w więzieniu
maj
zieloność
gięła palce krat
i tylko krzyk

Zbigniew Zaborski

1 Maja

pamięci Wł. Broniewskiego

rozpaczą warg
obiął tynek
ze ścian

piętnaście
czternaście
trzydzieście
w twarz uderzy
nagle
zawisnie
zaplonie
zakolysze
leniwie
do srebrnego czoła
podpełźnie
dłonią wypisze
ciepło

pamiętam maj
zielony maj
i okna
co się nie otworzy
widziałem ich
jak szli pod mur
jak tłukli oczy
siatką bram

czerwono-złote
koła
dłonią wypisze
i pójdzie zaraz dalej
do innej celi wyżej
i komuś tam rozpali
w oczach ciszę

ty będziesz znowu czekał
krwią okiem nabiegłym
ciągle liczysz i liczysz
cegły

widziałem maj
czerwony maj
i mur
i bramę
co się nie otwiera

Marian Fleisierowicz

Jedność zaangażowana

Polityka — i ta wielka ogólnopolska realizowana w powiecie czy miasteczku, a nawet w gromadzie — musi się opierać na faktach. Plany, zamierzenia, perspektywy? Owszem, ale punktem ich wyjścia musi być zawsze realnie istniejąca rzeczywistość, muszą być fakty. Przywykliśmy już do tego tak bardzo, że niejeden z nas może nawet nie spostrzeżł, jak z narodu marzycieli i fantastów staliśmy się społeczeństwem myślącym kategoriami konkretnymi. I w tych kategoriach oceniamy naszą przeszłość, nasze ogromne przecież dokonania we wszelkich dziedzinach. W tych też kategoriach myślimy o przyszłości: o miejscu Polski w świecie, rozwoju ekonomicznym kraju, liczbie uczelni, szkół, mieszkań, szpitali itp.

Jednym z takich konkretnych, który odegrał i odgrywa szczególną rolę w wielkim dorobku politycznym Polski Ludowej, jest jedność naszego społeczeństwa, znajdująca swój wyraz w koncepcji Frontu Jedności Narodu. Stał się on zjawiskiem politycznym, nierozdzielnie związanym z życiem kraju, stał się instytucją ustrojową, która, od kilkunastu już lat jest jednym z podstawowych instrumentów działania całego i skomplikowanego mechanizmu politycznego Polski.

Mówi się i słyszy często: Front Jedności Narodu. Przyzwyczajaliśmy się do tego terminu, tak że niekiedy nie zastanawiamy się nad jego znaczeniem i istotą. Na czym ona polega? Zbliżające się wybory do Sejmu i rad narodowych, są okazją, żeby porozmawiać o tych sprawach.

Mówił o nich na III Plenum KC PZPR, Władysław Gomułka, który ujął koncepcję Frontu Jedności Narodu w lapidarnym, syntetycznym skrócie:

„Władza ludowa — powiedział W. Gomułka — opiera się o sojusz polityczny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej ze Zjednoczonym

Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym, znajduje swoją masową bazę we Frontie Jedności Narodu, który zespala wszystkie twórcze, postępowe i patriotyczne siły narodu wokół wspólnego programu budownictwa socjalistycznego, rozwoju gospodarki narodowej, pomnażania sił Polski Ludowej i wzmacniania bezpieczeństwa jej granic”. (podkreślenie — M. F.).

W tak rozumianym Frontie mieści się sojusz i współpraca partyjnych i bezpartyjnych nad realizacją programu, wytyczonego przez ustalenie i uchwały zjazdów i kongresów partyjnych; mieści się szeroki udział bezpartyjnych w organach władzy. W tak rozumianym Frontie jest trwałe miejsce nie tylko dla członków PZPR, ZSL i SD, ale także dla bezpartyjnych patriotów, pragnących służyć krajowi budującemu socjalizm, niezależnie od ich przekonań religijnych czy przeszłości politycznej.

W ramach FJN — jak powiedział I Sekretarz KC PZPR z trybuny III Plenum — „jest miejsce dla społeczno-politycznych ugrupowań katolików świeckich, nie jako reprezentacji ogółu wyznawców religii katolickiej, lecz jako przedstawicieli tych środowisk, które szukają motywacji dla swego pozytywnego stosunku do władzy ludowej i dla swego, patriotycznego działania w światopoglądzie chrześcijańskim. Religia jest sprawą prywatną obywateli. Władza ludowa traktuje jednakowo wierzących i niewierzących. Olbrzymia większość ludzi wierzących nie łączy swej wiary religijnej z przekonaniami politycznymi, w tych przekonaniach znajduje motywację

i potrzebę swego udziału w realizacji programów Frontu Jedności Narodu i widzi swą reprezentację w istniejących partiach politycznych”.

Tak właśnie rozumiana jedność narodu, nie jest ani postulatem, ani też hasłem politycznym. Jest współczesnie istniejącym faktem, który realizował się stopniowo — aż doszedł do dzisiejszego kształtu przez okres 20 lat istnienia w Polsce władzy ludowej. Nasza dzisiejsza jedność nie zrodziła się z samych tylko nawoływań, apeli, haseł. U jej podłoża leżą historyczne już dziś przeobrażenia ustrojowe, których dokonała władza ludowa i które zaakceptował cały naród.

Utrwalały i cementowały tę jedność kolejne osiągnięcia i sukcesy, które wydzignęły nasz kraj, przed 20 laty nie tylko zacofany gospodarczo lecz i zniszczony wojną, do rzędu krajów rozwiniętych i mających przed sobą realne perspektywy stałego, dalszego rozwoju. Do budownictwa socjalizmu włączyli się aktywnie ludzie, którzy kiedyś mieli odmienne poglądy lub stali zupełnie na uboczu tego, co się w kraju dokonywało. Dzisiaj realizują program, wysunięty przez partię marksistowską. Choć sami marksistami nie są, wiedzą, że ten program zmierza do poprawienia bytu całego narodu.

Trudno sobie wyobrazić, żeby dzisiaj ktokolwiek mógł wobec narodu polskiego wystąpić z hasłem przywrócenia kapitalizmu w Polsce, oddania kapitalistom naszych kopalń, hut, fabryk, oddania ziemi obszarnikom, powrotu rządów kapitalistyczno-obszarniczych oraz przedwojennych stosunków społeczno-politycznych.

Z takimi hasłami nie występują otwarcie nawet zagraniczne i opłacane przez koła imperialistyczne ośrodki wrogiej propagandy, które atakują przecież nie tylko partię, jako siłę kierującą budową socjalizmu w Polsce, ale robią też wszystko, by rozbić jedność narodu, skłócić go politycznie, zahamować rozwój naszego kraju, podciąć podstawy bezpieczeństwa i niepodległości. Wrogowie nie atakują ustroju socjalistycznego wprost, nie odważą się zalecać ustroju kapitalistycznego. Dlatego też prowadzą antykomunistyczną propagandę pod hasłami „ulepszania” socjalizmu, niby to w obronie mas pracujących. Tych samych mas, którym przed wojną apłikowali terror, szarżę policyjne, salwy do tłumy, więzienia.

Ale nawet takie sposoby nie trafiają do przekonania naszemu narodowi i nie mogą naruszyć jego jedności. A strojenie się przez wrogów Polski Ludowej w piórka „obrońców” socjalizmu, jest jeszcze jednym dowodem popularności i siły demokracji ludowej w Polsce.

Naród nasz stał się społeczeństwem umiającym trzeźwo oceniać fakty. Ich wymowa jest bez porównania silniejsza niż głosy wszystkich „wolnych europ”, razem wziętych. Jednym z takich właśnie faktów o kapitalnym znaczeniu dla losów narodu, jest jego jedność o zasięgu i konsekwencji nie mających precedensu w historii Polski. Z tego faktu wynika jednak pewien postulat: stale i jeszcze bardziej u macyńmy tę jedność. W interesie naszym i naszych rodzin, w interesie całego narodu.

Zbigniew Mika

Huta rzuciła urok

W dowodzie osobistym Piotra Hodernego, wpisanego przed laty zawód: rolnik. Niewielki wprawdzie był po temu tytuł, mierzony kilkoma hektarami kiepskiej ziemi i lichymi budynkami, ale taką sukcesję przejął po ojcu i nie miał zamiaru jej zmieniać. Gdy więc nadeszła wieść, że na gruntach jego wsi stanie jakaś wielka fabryka, rokosz bardziej był mu w głowie niż pożegnanie z zagonem. I długo jeszcze kępował go i uciskał niczym uniform robotniczy kombinezon, za nim budowa zaczęła go ciekawić, pasjonować by wkrótce pochłonąć bez reszty.

Kierownik budowy, inżynier Konieczka, mówi o nim: „najlepszy pracownik centralnej wytwórni betonów”. Inni dodają: „nie tylko wybitny fachowiec, to przede wszystkim człowiek oddany duszą i sercem hucie, który nie liczy godzin spędzonych przy betoniarce”.

Może dlatego, że nie liczył ich nigdy na własnym gospodarstwie, a pojęcie: „roboty na moim” ustąpiło z czasem miejsca: „w naszej fabryce”. Pojęcie owo nie straciło wartości, a do tego, zysk z tej nowej roboty większy i dom lepszy, wysta-

wiony pieniędzmi z odszkodowania za opuszczoną schedę. Tak widać kalkulował nie tylko Hoderny, bo dawnych dziedziców tej ziemi pracuje tu kilku. I pracują bardzo dobrze.

A przecież, było to niespełna pięć lat temu, gdyśmy przyjechali na spotkanie z właścicielami gruntów Malińca, na których miała stanąć nasza huta, ledwieśmy skórę całą z sali wynieśli — wspomina dyrektor naczelny, inżynier Zygmunt Saller. — Nie przekonywały ich wtedy żadne zapewnienia o odszkodowaniach, o pracy na budowie i później w hucie słyszeć nie chcieli. Dzisiaj chyba trochę się wstydzą takiego przyjęcia, czego nie mówią, ale to widać po nich samych. Tyle się zmieniło...

A to dopiero początek przemian tego skrawka konińskiej ziemi. Na razie huta to po prostu budowa, błotnista, rozgrzebaną i niezupełnie dla laika zrozumiałą. Zakończona w swym I etapie, w III kwartale przyszłego roku — da pracę ponad tysiącu dwustu ludziom a przemysłowi tysiące ton aluminium — metalu niezbędnego w nowoczesnej produkcji i budownictwie.

Na razie z rozległego obszaru na pustkowiu wyrosły dwie potężne

hale na osiem pięter wysokie. W każdej z nich dwoma szeregami stoi prawie setka wanien do elektrolizy aluminium. Stalowej konstrukcji hale, o ścianach wykładanych falistym eternitem i płytami z barwnego, przezroczystego tworzywa, budzą obawę: jak tu pracować zimą? Ktoś śmieje się i mówi: „tu i tak będzie za ciepło”. Każda wana w czasie pracy ma 900 stopni. Ze względów zdrowotnych powietrze musi być bez przerwy wymieniane specjalnymi urządzeniami wentylacyjnymi. Trzydzieści razy na minutę!

Obok hal elektrolizy, nieco mniejsze gmaszysko odlewni. Tu płynny biały metal będzie formowany — przeszedłszy przed tym proces filtracji i oczyszczenia — w gaski żywo przypominające wielkie tabliczki czekolady. Dalej, na wielkim placu budowy, stanęły: stacja prostowników krzemowych, kompresorownia, warsztaty remontowe, magazyny, garaże, biurowiec.

Na razie panuje tu jeszcze kończące się królestwo budowlanych wkrótce rozpocznie się montaż urządzeń i maszyn. Za rok i kwartał, gdy padnie sygnał uruchomienia urządzeń, będzie można powiedzieć,

że mamy Hutę Aluminium — drugą w Polsce, jedną z nielicznych pod względem nowoczesności w świecie. Finansisci orzekną wtedy, że wydałmy półtora miliarda złotych, ale opłaciło się, bo za dziesięć lat wydatek powinien się pełnie zwrócić.

Inwestor — „Dyrekcja Huty Aluminium w budowie — Maliniec k/Konina” — mierzy wartość swojego dzieła emocjami minionych lat, nieprzespanymi nocami inspektorów, tysiącami kilometrów podróży zapoatrzeniowców, setkami konsultacji i sporów. Bo przecież wcale tak nie było jak w relacji reportera: hutę dźwigało się w znoju, wśród licznych przeszkód i trudności.

Najpierw były kłopoty z decyzją: jakim posłużyć się wzorem, skąd wziąć dokumentację, gdzie zakupić urządzenia. Wreszcie w maju 1962 roku zapadła decyzja, że trzeba nabyć licencję francuską Pechiney'a (tylko trzy takie licencje sprzedano, oprócz Polski — do Japonii, USA i Kamerunu), firmy znanej z najlepszych doświadczeń w tej dziedzinie. Potem przyszły kłopoty z biurami projektów i wykonawcami...

Piętnaście osób liczy zespół inspektorów nadzoru inwestycyjnego, inżynierów i techników, wyposażonych w gumowe buty i przeciwdeszczowe płaszcze. Praktycznie nie schodzą oni z budowy. Jedni, jak inżynier Janusz Szarras, są specami od robót elektrycznych — inni, np. inżynier Jerzy Stanisławski — od

Dokończenie na str. 4

WYŻ DEMOKRATYCZNY

„Nasze społeczeństwo jest młode. Ponad 40 procent ludności Polski nie przekroczyło wieku 19 lat. Corocznie setki tysięcy młodzieży podejmuje pracę zawodową. 8 milionów młodych ludzi pobiera naukę w różnego typu szkołach. Partia nasza poświęcała zawsze i poświęca zaopiekowaniu młodzieży szczególną uwagę. Wynika to z ideologii, z naszych założeń programowych, z naszej troski o przyszłość socjalistycznego narodu.”

WŁADYSŁAW GOMUŁKA
IV Zjazd PZPR

Jesteśmy społeczeństwem ludzi młodych. Sprawy młodzieży nie schodzą ze szpalt gazet, są źródłem wielu dyskusji i sporów. W ocenie współczesnej młodzieży polskiej, jej postaw społecznych, jej działania — stosuje się najrozmaitsze kryteria, prowadzące często do skrajnie różnych wyników.

— Młodzież jest zła — mówią jedni. — Interesowna, goniąca za rozrywkami, mało ofiarna.

— Młodzież jest dobra — mówią inni. — Patriotyczna, wytrwała, ambitna, odważna i pracowita. Kto ma rację?

Stawianie ocen zawsze było przywilejem nauczycieli i wychowawców. Nie więc dziwnego, że starsze społeczeństwo próbuje ocenić plon swoich zabiegów wychowawczych, zorientować się, jakie są rezultaty wieloletniego kształtowania. W spojrzeniu na młodzież popełnia się jednak często zasadniczy błąd. Porównujemy ją z sobą, z naszą młodością. Z ideałami i postawami naszej młodości. A współczesna młodzież polska jest po prostu inna. Tak jak inne są jej warunki życia, nauki i pracy. To stwierdzenie nie wyjaśnia jeszcze jaka jest młodzież, ale każe nam jednak spojrzeć na nią obiektywniej, z uwzględnieniem wszystkich jej cech i walorów.

Wydać się, że cechą typową współczesnej młodzieży polskiej jest jej poczucie współodpowiedzialności za losy środowiska. Typową nie znaczy jeszcze, że powszechną. Jest to jednak cecha wiodąca, którą

najwyżej stawia sama młodzież w ocenie swych kolegów.

We wsi Zakrzyn w powiecie kaliskim soltyduje działacz Związku Młodzieży Wiejskiej Sylwester Pleśnierowicz. Soltyś „Pleśnier” — jak go tam nazywają — zdobył sobie autorytet nie tylko młodzieży, ale i całej wsi, czynną postawą społeczną, umiejętnością pozyskania dla społecznego działania wszystkich mieszkańców wioski. Każda złotówka inwestowana przez państwo w rozwój Zakrzyna przyniosła 13 zł wypracowanych rekoma mieszkańców. W ostatnich kilku latach wybudowano tam Dom Ludowy, zelektryfikowano wieś, zbudowano drogę łączącą ją z głównym traktem, położono chodniki. Postawa Sylwestra Pleśnierowicza pełna społecznej aktywności jest główną przyczyną zaufania, które go otacza, a widomym tego dowodem jest powtórne już typowanie go do rady gromadzkiej i powiatowej.

W kole Związku Młodzieży Wiejskiej przy Technikum Weterynaryjnym we Wrześni pracuje aktywnie Józef Bąk. Przez okres 4 lat był on przewodniczącym koła. Potrafił związać młodzież z terenem jej przyszłej pracy. Teoretycznemu wykształceniu przydał społecznikowski pasji. Toteż młodzież Technikum znana jest wśród kół ZMW całego powiatu. Swą wiedzę poniosła ona na wieś — inicjując wiele pożytecznych akcji. Opuszczający dziś Technikum maturzyści, to ludzie przygotowani nie tylko zawodowo do swej pracy. Działalność w ZMW po-

mogła im zrozumieć wagę społecznej roli, jaką w tej chwili mają do odegrania na wsi młodzi specjaliści. A poza tym pozwoliła im odczuć radość inspiracji, radość przekonywania o sprawach słusznych i pożytecznych.

Takich przykładów młodzieży obywatelsko dojrzałej można przytoczyć wiele. Jest np. absolwentka Wydziału Zootechniki poznańskiej WSR Hanna Matysiak, która z własnej i nieprzymuszanej woli (nie była stypendystką) wybrała pracę w PGR Piotrowo, należącym do kombinatu Manieckiego. Prowadzi tam oborę z 1000 cieląt bez gruzlicy. Nie ma ani łatwych warunków, ani dobrego mieszkania, ani innych rekompensujących daleki pobyt od centrum kulturalnego udogodnień. A przecież czuje się tam szczęśliwa. „Jestem na swoim miejscu — mówi. — Czuję się tu potrzebna.”

Człowiekiem pełnym odpowiedzialności za losy swego zakładu jest również Stanisław Brzostowski, członek Brygady Pracy Socjalistycznej w Fabryce Łożysk Toczych w Poznaniu, działacz ZMS, znany przez całą młodzież zakładu, która wysunęła jego kandydaturę na stanowisko radnego DRN Nowe Miasto. Takim też jest Franciszek Drzyzgiewicz — technik ZNTK w Pile, przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMS, inicjator czynów społecznych, współzawodnictwa pracy, aktywnie występujący w obronie interesów młodzieży. Z jego inicjatywy aktywnie ZMS wspólnie z majstrami odbywa narady na temat przekwalifikowania młodych, umożliwienia im dalszego kształcenia.

Jest jeszcze jedna cecha ogromnie charakterystyczna dla współczesnej młodzieży. Młodzież dzisiejsza jest młodzieżą myślącą. Niczego nie chce przyjmować na wiarę. Przekonać mogą ją tylko fakty. A fakty mówią same za siebie. Około 73 procent młodzieży w wieku 14—17 lat uczy się, po skończeniu szkoły podstawo-

wej, w różnego typu szkołach (w Poznaniu 98 procent). W szkołach wyższych — stacjonarnych, zaocznych i wieczorowych — kształciło się w ubiegłym roku szkolnym 212 600 studentów, w tym na studiach stacjonarnych 131 600. Wśród nich 67 tysięcy korzystało z różnych form pomocy stypendialnej. Kraj nasz ma obecnie znacznie wyższy wskaźnik studentów na 10 tys. mieszkańców, niż kapitalistyczne kraje Europy zachodniej. Młodzież w swej podstawowej masie afirmuje ustrój społeczny naszego państwa, który daje jej perspektywę nauki i pracy. Wraz z tym jest umasowienie i okrzepnięcie organizacyjne młodzieży w organizacjach polityczno-wychowawczych skupiających łącznie przeszło 3 miliony młodzieży. W naszym województwie około 260 tysięcy.

Ale afirmacja w pojęciu dzisiejszej, myślącej młodzieży to nie powszechna zgoda. Odwaga w podejmowaniu krytyki złych zjawisk naszego życia — marnotrawstwa, biurokracji, formalizmu w stosunkach międzyludzkich — to również cecha charakteryzująca naszą młodzież. Nie kto inny jak właśnie przewodniczący koła ZMS w poznańskiej „Centrze” — Eugeniusz Łomiński przeciwstawił się — dla przykładu — niesłusznej decyzji zwolnienia długoletniej pracownicy, powodując jego cofnięcie. Stanisław Kasperczak brygadziści brygady polowej w PGR Chwiałkowo w pow. gostyńskim, przewodnicząca tamtejszego koła ZMW „wtrąca się” do wszystkich spraw dotyczących rozwoju gospodarstwa i właśnie za ten zdrowy, krytyczny stosunek do wszystkiego, co ją otacza, zjednała sobie uznanie rówieśników i szacunek w kierownictwie PGR-u.

Jaka jeszcze jest nasza młodzież? Normalna. Lubi tańczyć, śpiewać, ładnie się ubrać, jeździć na wycieczki, chodzić do kina, na koncerty, do teatru. Takie jej prawo. Prawo młodości. „Młodzież wie dzisiaj że żyje” — wzdychają często z nutką zawiści dorośli. To prawda. Ale też prawdą jest, że w kształtowaniu nowych warunków swojego życia bierze ona aktywny udział. Bo współczesna młodzież polska to nie tylko wyż demograficzny, to również wyż demokratyczny.

Lecz już punkt pierwszy odpowiedzi radzieckiej przekazanej Krebsowi brzmi: „Natchmiastowa i bezwarunkowa kapitulacja Berlina”. Ponadto Związek Radziecki kategorycznie odrzuca jakiegokolwiek propozycję prowadzenia separatystycznych pertraktacji poza plecami rządów amerykańskiego i brytyjskiego.

Nadzieje grupy Goebbelsa-Bormanna, by chociaż teraz, po śmierci Hitlera, dokonać chytrych rozłamu koalicji, są rozwiane.

Szturm na ostatnią enklawę hitlerowskiego Berlina jest kontynuowany.

Wieczorem 1 maja Goebbels i jego żona (zamordowawszy sześć córek) popełniają samobójstwo. Bormann wraz z resztą byłych dworzan Hitlera podejmuje próbę ucieczki z Berlina. Czy udaną? Prawdopodobnie tak. Ale kończąca raz na zawsze polityczną karierę „brunatnej eminencji”.

Zaś po niefortunnym parlamentarzystwie Krebsie, zachowała się tylko anegdota związana ściśle z datą 1 maja 1945 roku. Kiedy bowiem oczekiwał w przedpokoju kwatery generała Czujkowa, chcąc przymilić się znajdującym się tam oficerom radzieckim, odezwał się obłudnie: „Mamy dziś 1 Maja, wielkie święto naszych obu narodów”.

Otrzymał też odpowiedź od jakiegoś pułkownika radzieckiego, który właśnie obserwował przez okno panoramę zdobywanego Berlina: „O, my mamy dziś wielkie święto. Jak tam jest wszakże u was — trudno powiedzieć”.

Widok czerwonego sztandaru powiewającego nad kopułą Reichstagu nadawał temu „trudno powiedzieć” jednoznacznie ironiczny sens.

Huta rzuciła urok

Dokończenie ze str. 1

uzbrojenia terenu. Im to w udziale przypada przemierzać dziesiątki kilometrów dziennie po błotnistym lub zakurzonym terenie budowy, usuwać usterki w dokumentacji, podejmować ryzykowne decyzje o zamianie brakujących materiałów na inne.

„Jesienią ubiegłego roku — opowiada — mieliśmy twardy orzech do zgryzienia. Nadciągała zima, a nie było eternitu na krycie dachu. Chodziło o eternit zagraniczny. Liczba przy tym nie bagatelna —

Wśród pożaru rewolucji

Dokończenie ze str. 1

Ze wszystkich stron ściekały grupki robotników, studentów, inteligencji, rzemieślników. Na Żelaznej w pochodzie szło już 20 tysięcy ludzi. Pięć razy pochód zatrzymywał się, by wysłuchać gorących słów przemówień. Spotykał raz po raz posterunki policji i żołnierzy: niekiedy odkrywali oni przed pochodem głowy. Na ul. Złotej, przy koszarach, pochód zatrzymał się. Ktoś przemówił do żołnierzy, wyglądających przez okna, po rosyjsku: słuchali, niektórzy kłaniali się, wymachiwali czapkami, podchwytywali okrzyki: „Dolaj caria!”, „Dolaj samodzierżawie, da zdrowstwuje swoboda!” Ludność warszawskich dzielnic robotniczych witała pochód oklaskami, z balkonów powiewano chustkami, rzucano kwiaty...

Z Żelaznej pochód skręcił w Aleje Jerozolimskie. Tam miał się rozegrać ostatni akt demonstracji. Tam przygotowany był dramatyczny finał krwawego Pierwszego Maja 1905 roku.

W pisaniem na gorąco sprawozdaniu, zamieszczonym na łamach „Z pola walki” czytamy:

„Wszędzisz w Aleje Jerozolimskie, zobaczyliśmy w oddali oddział piechoty: po krótkiej nara-dzie kierownicy demonstracji postanowili iść naprzód, nie mając zażądania prowokować wojska, demonstranci zeszli na trotuar. Koło numeru 101 w Alejach Jerozolimskich spotkaliśmy się znów z wojskiem. Jeźdźcy dobyli szabel. Tłum stanął. Wtedy stała się rzecz straszna i nieprzewidziana. Policjant bez wezwania do rozejścia się strzelił z rewolweru, dając tym sygnał do ogólnej strzelaniny. Chorąży upadł, zastąpił go drugi, po czym wielki sztandar zwinął i uratowano... Tłum rzucił się do ucieczki... Na to tylko czekały rozbestwione zbiry carskie z łotrem oficerem na czele i rozpoczęły gorączkową strzelaninę w zbitą masę ludzką. Nie dość tego: ludzi przełazących przez parkany, tłoczących się przy przejściu, utworzonym w płocie, brano specjalnie na cel i zabijano bez litości. Piętnaście minut, wydających się wiekiem, trwała ta rzeź niebываła, strzelanina do tłumu bezbronnych i uciekającego, rezultatem której było więcej niż 50 osób zabitych i około 100 rannych, przeważnie śmiertelnie, między nimi wiele kobiet i dzieci...”

Wieczorem tysiączne pochody przeciągnęły jeszcze raz ulicami Woli. W dzielnicach robotniczych tłumy stały na chodnikach, blokowały ulice — wbrew rozporządzeniu władz, zakazującemu zbierania się na ulicach. W śródmieściu prze-ważali robotnicy i rzemieślnicy w odświętnych ubraniach. Na wszystkich twarzach znać było podniecenie: wieść o rzezi spokojnej demonstracji rozniosła się lotem błyskawicy. Natychmiast odbita i roz-powszechniona w tysiącach egzemplarzy odezwa Komitetu Warszawskiego SDKPiL, nawołująca do nowego strajku — znalazła gotowy grunt.

4 maja władze carskie chciały potajemnie pochować ofiary masakry.

4 maja Warszawa odpowiedziała powszechnym strajkiem protestacyjnym.

KRZYSZTOF ZAREWICZ

Zbigniew Szumowski

Sztandar nad Reichstagiem

żądają od niego, by w ciągu najbliższych 24 godzin „opanował sytuację wojskową”, stwarzając jak najkorzystniejsze warunki do „przetargów z Rosjanami”. Przetargi owe ma poprowadzić szef sztabu generalnego OKH — generał Krebs.

Coraz bardziej wszakże zacieśnia się enklawa utrzymywana jeszcze przez hitlerowskie oddziały. W rejonie Bismarckstrasse polscy Kościuszkowcy zdobyli szereg ulic i dzielnic, torując stopniowo drogę do Tiergarten. Oddziały 8 gwardyjskiej armii gen. Czujkowa, wywalczając krwawo metr po metrze, nieustannie zbliżają się do Reichskanzlei. Grupy żołnierzy radzieckich prą ponadto ku niej tunelami kolejki podziemnej. Dobiega także kresu wielogodzinna bitwa o Reichstag. Toczona ze szczególną zaciętością o najwyższe piętro.

„Wreszcie — wspominać będzie jeden z historycznych chorążych, Jegorow — piechota nasza odrzuciła hitlerowców na prawo i utworzyła się przejście na strych. Znowu zdejmujemy nasz sztandar i przedostajemy się do samego konia, który stoi na dachu Reichstagu... Wetknęliśmy drzewce do wybitego w nim przez pocisk otworu, a tu biegnie ku nam jakiś żołnierz i krzyczy:

— Sztandar widać tylko z jednej strony... Pozwólcie, ja go umieszczę inaczej.

dzieckiemu dowództwu bardzo ważne wiadomości.

1 maja o 3.30 Krebs zjawia się osobiście. Zostaje przeprowadzony na punkt dowodzenia generała Czujkowa, gdzie znajduje się także zastępca dowódcy I Frontu Białoruskiego, generał Sokołowski, Krebs zawiadamia najpierw o śmierci Hitlera, po czym — zdeprymowany, iż ta wiadomość nie podnieca jakoś radzieckich generałów — oznajmia: Goebbels i Bormann proponują Naczelnemu Dowódcy Frontu Radzieckiemu zawieszenie działań bojowych na terenie Berlina, by stworzyć warunki „do pertraktacji pokojowych pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim”. Potem tłumaczy: „Umożliwiłoby to Bormannowi i Goebbelsowi skontaktowanie się z pozostałymi członkami nowego rządu, którzy przebywają poza Berlinem. W ten sposób nowy rząd niemiecki zostałby uprawniony i zalegalizowany, zaś rząd radziecki uzyskałby legalnego partnera dla pertraktacji pokojowych”.

Nietrudno zorientować się o co chodzi Goebbelsowi i Bormannowi. Zawarcie separatystycznego, poza plecami zachodnich aliantów, porozumienia rozejmowego, ma rozbić koalicję antyhitlerowską. Ponadto — umożliwiłoby paladynom Hitlera (pod pretekstem porozumienia się z pozostałymi kompanami) wyminiecie się z Berlina i zaferowanie „legalności” przestępczego rządu Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii.

Przeddzień Święta Majowego 1945 roku. Berlin. Front wschodni zwał się już wokół śródmiejskiej enklawy stolicy Trzeciej Rzeszy utrzymywanej jeszcze przez oddziały hitlerowskie.

Enklawa ta w południe 30 kwietnia przypomina obrysem nieregularną elipsę, nabadowaną wokół parku Tiergarten. Tę elipsę — ze wszystkich stron szczerbią nasilające się wciąż ataki zdobywców Berlina. Od północnego zachodu — 2 gwardyjskiej armii pancerniej gen. Bogdanowa, której czołgistów przybyli wspierać piechurzy polskiej 1 dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Z południowego zachodu — 3 gwardyjskiej armii gen. Rybalko. Od południa i południowego wschodu (ku pobliskiej Reichskanzlei, w której podmiach zaczął się Hitler), 3 armii gwardii gen. Czujkowa i 1 gwardyjskiej armii pancerniej gen. Katukowa. Od zachodu — 5 armii uderzeniowej generała Berzyna i wreszcie od północy — 3 armii uderzeniowej.

Jednostki tej właśnie 3 armii wygrały wyjątkowy los na bojowej loterii berlińskiej. Dotarli pod gmach Reichskanzlei.

O godzinie 14 przypuszczają generalny szturm na ten symboliczny budynek. O 14.25 grupa żołnierzy z batalionu kapitana Nieustrojowa wdzierają do gmachu. Lecz dopiero o 14.45 Rosjaninowi Jegorowowi i Gruzinowi Kantorii udaje się wywieść przy głównym wejściu czerwony sztandar, przygotowany specjalnie na tę okoliczność. W miarę też jak atakujący piechurzy, łamiąc opór hitlerowców wewnątrz gmachu, opanowują kolejne piętra — sztandar przewieszany jest coraz wyżej...

Tymczasem w podziemiach Reichskanzlei, do których wyraźnie przenika łoskot bitwy, tłum dworaków nasłuchuje na jeden tylko strzał. Mający paść w prywatnym apartamencie ich wodza. Kiedy rozlega się głucho, jest godzina 15.09.

Kilkadziesiąt minut później, w ogrodzie koło schronu... Oblane benzyną zwłoki samobójczego małżeństwa Hitler (Ewa, z domu Braun, zażyła truciznę) ogarnia właśnie płomień, kiedy jeden z SS-manów asystujących przy tej ceremonii, dostrzegając z przerażeniem w jednym z okien Reichstagu czerwoną flagę. Zarazem nasila się ogień radzieckiej artylerii. Tuż ponad ruiną centrali zbrodni wyja pociski „katiusz”. Bormann i SS-mani szukają pośpiesznie ratunku w schronie. O „Fuehrerze”, dopełnieniu jego woli zeświata bez śladu, nikt już nie myśli. Podmuchy pobliskich wy-

25 000 m² płyt. Jedynym wyjściem byłyby dostawy krajowe. Ulokowanie zamówienia poza planem i to specjalnego rodzaju płyt, to przecież wielka filozofia. Gdy znalazł się dostawca, nadeszły dni nerwowego oczekiwaniami: dotrzymają słowa czy nie. Późno wprawdzie, ale dach był gotowy na czas. No, w tym to głównie zasługa ofiarnych brygad dekarzy: Józefa Wojtczaka i Stanisława Wrzesińskiego”.

Dzielną postawą inżynierów i robotników pozwoliła kontynuować roboty w ciągu zimy. Dlatego budowa idzie łeb w łeb z harmonogramem. Jeśli nie spóźni się montaż, rozruch huty w trzecim kwartale przyszłego roku — murowany.

— A propos montażu — wtrąca dyrektor Saller — nic by z niego nie



Od trzech, czterech lat zaczyna na zwracać na siebie uwagę. Jest na rozbiegu. Każdy rok przynosi mu jakąś książkę, nagrodę lub wyróżnienie. Przypomnijmy: rok 1961 — tomik wierszy „Morze, pergamin i ty”, rok 1962 — pierwsza nagroda w konkursie marynistycznym, nagroda Wydziału Kultury MRN w Szczecinie za działalność kulturalną, III nagroda w konkursie oddziału ZLP w Szczecinie za powieść pt. „Pobyty”. Rok 1963 — II nagroda na turnieju „Czerwonej róży” w Gdańsku; rok 1964 — I nagroda w konkursie „Życia Literackiego” na opowiadanie o tematyce współczesnej, tomik poetycki w PIW-ie, wydanie drukiem „Pobyty”. Ma dopiero 27 lat. Jest asystentem Katedry Literatury Polskiej UAM. Para się krytyką literacką i pracą naukową. Biografie ma zwykłą, typową. Debiut poetycki w czasie studiów polonistycznych w Poznaniu, po studiach praca bibliotekarska w Szczecinie, pisanie wierszy, a potem i prozy. W 1962 r. przyjęcie do ZLP. W rok później powrót do Poznania, praca na Uniwersytecie i w Wydawnictwie Poznańskim. Pisanie wierszy, krytykę, opowiadań i artykułów.

Pierwsze pytanie, od którego rozpoczynamy rozmowę z Edwardem Balcerzanem jest dość stereotypowe, ale konieczne. Co ma Pan teraz na warsztat, jakie plany, poezja czy proza?

— Od czasu do czasu piszę oczywiście wiersze. Teraz robię przekłady z wierszy Genadija Ajgi — bardzo interesującego poety, Czuwasza, piszącego po rosyjsku, mało znanego u nas, a także w Związku Radzieckim. Grono tłumaczy przygotowuje jego tomik (pod redakcją W. Woroszyłskiego). Praktyka tłumaczenia interesuje mnie także dlatego, że piszę właśnie pracę doktorską z dziedziny teorii przekładu. Próbuję w ten sposób podpatrzeć i sprawdzić samego siebie. Poza tym mam w planie i w notatkach prozę: powieść lub duże opowiadanie o tematyce współczesnej. Bohaterem jej będzie człowiek ogarnięty pasją poznania społeczeństwa, może dziennikarz, reporter filmowy, może redaktor telewizyjny. Dla autora dwóch tomików, z których jeden ukazał się w nakładzie 800 egzemplarzy, a drugi 1000, mającego świadomość, że jego poezja ma niewielu czytelników, a odbiorca niedawno wydanej powieści wciąż jest niewiadomą, taki temat i bohater o obsesji społeczeństwa jest chyba bardzo zrozumiały.

— Czy rzeczywiście poezja jest tak mało czytana? Jakiekolwiek interesujące zjawiska i nurty widzi Pan jako poeta i jako krytyk w współczesnej naszej poezji?

— Nakłady tomików są małe, ale poezja ma znacznie więcej konsu-

mentów niż się samym odbiorcom wydaje.

— Jak to jest możliwe?

— Coraz częstszy jest odbiór jej w oparciu o inne rodzaje sztuki, konsumpcja pośrednia przez film krótkometrażowy, teatr, plakat. Jeśli chodzi o nurty współczesnej poezji, to walczą w niej dwie tendencje: poezji, która próbuje odkryć szanse dotąd niewykorzystane samego języka i nastawia się na poznanie tego co się myśli przez to jak się mówi. Drugi nurt to twórczość wizjonersko-obrazowa. Język jest tu tylko środkiem wyrażenia wyobraźni poety. Wydaje mi się, że pierwszy nurt ma większe szanse bezpośredniego trafienia do czytelnika, natomiast drugi działa silniej na sztuki pokrewne. Trudniej jest tę poezję zrozumieć, ale może ona za to łatwiej inspirować twórców, którzy korespondują z odbiorcą za pomocą obrazów. Przykładem tego może być np. film „Osiem i pół” Feliniego i jego związki z literaturą.

— Styka się Pan bezpośrednio z młodzieżą polonistyczną. Czy mógłby Pan coś powiedzieć o jej zainteresowaniach literackich. Co ona czyta i co pisze?

— Mnie się wydaje, chociaż mogę się mylić, że młodzież polonistyczna nie ma grupy książek, które by stanowiły opozycję wobec lektury zalecanej a jeśli nawet je ma, to starannie je ukrywa. Prawie wszystkie bowiem wybitne i nowatorskie dzieła XX wieku są ujęte w spisach lektur i omawiane na ćwiczeniach. Jeśli chodzi o to, czy studenci piszą, to piszą bardzo dużo. Mają upodobania nowoczesne, ale chcą być antyprzysiosiwi, bliźni neoklasycyzmowi. Mają świetną atmosferę do startu, konkursy, zainteresowanie kolegów. Gdy np. Koło Polonistów zorganizowało dyskusję o tematyce naukowej dotyczącej współczesnej prozy, przyszło 5 osób; na wieczorki grup poetyckich przychodzi i po 150 osób. Tworzą oni również własne studenckie teatryki poezji. Ten ruch artystyczno-poetycki rodzi się z trudności publikacji w prasie literackiej. Sądze jednak, że powstający miesięcznik „Poezja” zainteresuje się twórczością młodych.

— Jest Pan przedstawicielem młodego pokolenia pisarskiego ziem zachodnich, na nich usytuował Pan swą pierwszą powieść. Czy mógłby Pan spróbować na roboczo określić, na czym polegała szansa literackie tematu ziem zachodnich?

— Szansa ta istnieje, ale wydaje mi się, że nie została dotąd wykorzystana. Bo typowe konflikty społeczne na ziemiach zachodnich wyrażają się w sposób bardziej jaskrawy, dramatyczny, ostry niż w innych regionach. Ale wcale nie chodzi tu przecież o to, aby wylapywać to, co egzotyczne, wąsko-regionalne, ale odnajdywać to, co kryje zjawiska ogólnopolskie. Innymi słowy, jestem przeciwnikiem małego realizmu, drobnych obserwacji obyczajowych uważam że literatura tego tematu musi zdobyć się na uchwycenie wielkiej metafory, musi poruszać problemy ogólnoludzkie. Typowym przykładem tej problematyki była w swoim czasie walka dwóch postaw wobec ziem zachodnich: szabrownika i osadnika. Tego, który chciał się łatwo wzbogacić i tego, który przyszedł budować. Ten fakt wydaje mi się jednak wart opracowania literackiego tylko wtedy, gdy przedstawi się go jako metaforę stosunku Polaka do współczesności, jego stosunku do świata. Każda ambitna literatura jest zawsze grą o wartości istotne.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁĄŻEWICZ

wyszło, gdyby nie nasz dział zaopatrzenia, organizujący dostawy maszyn. A jest ich wiele, nadchodzą z całej Polski i zagranicy. Sam import ma wartość 2 mln. dolarów.

Bez filtrów nie ruszy huta, wapien nie można ustawić bez „poduszek betonowych”, poduszki nie legną, gdy nie będzie dachu — oto maleńka próbka zależności i powiązań, komplikujących się na co dzień w sposób nie przewidziany żadnym harmonogramem, normami, ustawowym czasem pracy. Wspaniała technika, znakomita wiedza zawodowa wówczas na całej linii. Wszystko wtedy zależy od ludzi.

„Trzeba było przygotować front pracy dla monterów, to pracowano się na trzy zmiany. Dzień i noc, po

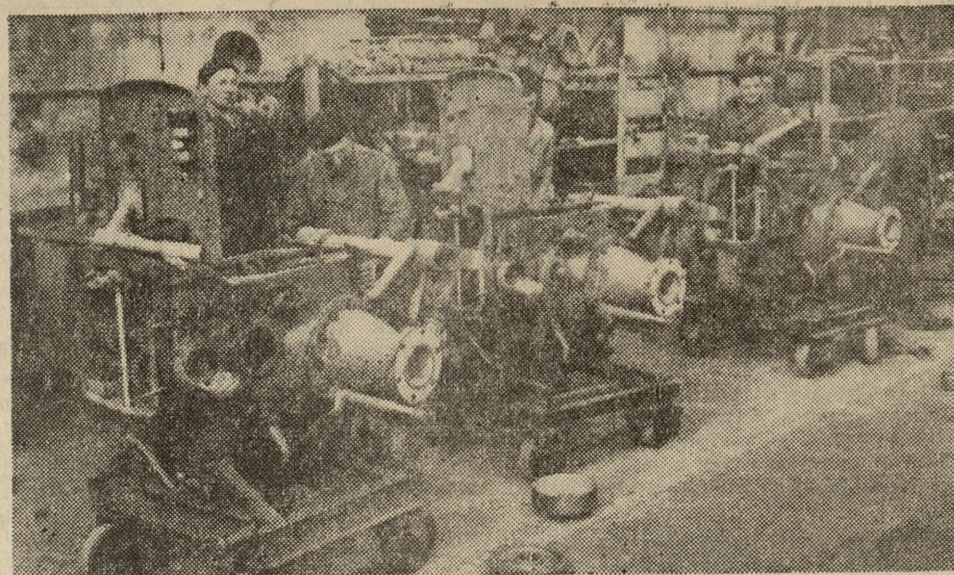
piętnaście godzin. Niech pan się nie dziwi, powiem bez budy: myśmy do huty przywiązali się jak do własnej”. Dlaczego miałbym nie wierzyć skoro dowody dobrej roboty pod ręką, a w robociarskich wyznaniach, gdy już do tego dochodzi, nie ma zwykle miejsca na sentymentalne komplementy.

Huta — fabryka bez kominów może rzeczywiście urzec wielkością obiektów, alchemiczną dla laika technologią, nowoczesnością rozwiązań.

— Zaledwie dwa procent szkodliwych wylęgów hutniczych pójdzie na zewnątrz — mówi generalny projektant z „Bipromentu” mgr inż. Jan Machinek. — Wymieniane powietrze hali elektrolizy będzie się „cedzić” przez specjalne filtry, co uchroni

Na zdjęciu: fragment Zakładów Mechanicznych w Gorzowie, które podejmują obecnie produkcję części zamiennych do nowych ciągników C-329, produkowanych w „Ursusie”.

Fot. — CAF



Feliks Biłos, Zbilut Sęk

PIONIERZY ZNAD WARTY

się „zwiad” polskich kolejarzy. Oni tu przyszli pierwsi. Paweł Macierzewski, świeżo upieczony kolejarz, stanął do pracy w PKP na apel o swobodziciela Wągrowca, płk. Paszkowa. Po dwóch tygodniach, wraz z 18-osobową grupą Zastrożnego, znalazł się w Gorzowie. To było 19 lutego. Nie oswoił się jeszcze z pracą, gdy został zastępcą naczelnika parowozowni. Ekipa usuwała zniszczenia wojenne, szkody po nocnych bombardowaniach, gromadziła sprzęt, narzędzia i tabor. Gdy było trzeba — rekwirowała parowoz, nadchodzące tu z głębi Polski. Teraz, po dwudziestu latach, jeden z nich, Sobierajski, z uśmiechem przypomina bylemu naczelnikowi pewien rozkaz wyjazdu do strefy przyfrontowej. Powrócił dopiero po 2 tygodniach z brodą po pas i wszami. Pokarmem dla maszyn było wtedy drzewo z lasu, a dla obsługi — nieraz i garść zboża.

Wielu z tych ludzi nie wytrzymało takich warunków życia. Nie strach im kazał wrócić, lecz głód. Toteż pierwszym zadaniem młodej polskiej władzy na tej ziemi było zorganizowanie aprowizacji.

Inżynier architekt, Bogdan Grams przybył do Gorzowa 8 kwietnia, w kolejnym rzucie wągrowieckiej ekipy. Od kilku dni gospodarzy już w mieście Florian Kroenke, burmistrz Wągrowca, który na zew tamtejszego Komitetu Powiatowego PPR przybył do Gorzowa 27 marca na czele grupy organizatorskiej aparatu państwowego. Kiedy inż. Grams przygotował budynek dla siedziby miejskich władz, kiedy gromadzono niemiecką ludność dla utworzenia wśród gruzu przewoźnych ulic, inni szperali „w Polsce” w poszukiwaniu żywności. Była to jednoczesna organizacja — władzy i chleba.

W ciągu jednej nocy ulice dawnego Landsbergu uzyskały polskie imię. Obdzielono miasto sówicie nazwiskami poetów, królów, nazwami historycznymi. Emaliowane tabliczki zastąpił na razie zwykły karton, drukowany w oficynie Edwarda Kallinowskiego, stworzonej z wydobytych z gruzu części maszyn drukarskich. W taki sam sposób uruchamiano kolejno: szpital, pocztę, stażę pożarną, gazownię i elektrownię.

W kwietniu istniała już miejska władza, choć szpettowała urzędowe druki pieczętą, zrobioną z przedwojennej pięciolotówki. Działala też aprowizacja, otwarto

Wydarzenie zanotowane zostało na pierwszej stronie kroniki ówczesnego Kolejarskiego Klubu Sportowego: „1 maja 1945 roku w meczu białoczerwonych z piłkarzami, dobranymi z frontowych eszelonów armii radzieckiej, końcowy wynik brzmiał 1:2.”

Macierzewski nie rwał z tego powodu włosów z głowy. Szczęśliwy był, że jego piłkarze, choć w prymitywnych strojach, uszytych z poniemieckich pierzyn, prezentowali się tak okazale. Ten mecz miał dla niego wymowę symbolu. Uważał za wielki sukces same zawody, stroje, wynik gry...

Kostiumy białoczerwone włożyli po dwóch miesiącach pobytu w Gorzowie. Na co dzień nosili co popadło, uznając to za kolejarskie mundurki. Nie one zresztą były ważne, najważniejsza wtedy była broń — jedyna rzecz, której tutaj nie brakowało.

★

Kiedy Kujawski z piątką towarzyszy zgłosił się w Gorzowie do objęcia służby w ochronie kolei, płk Dragun załatwił SOK-istów krótko: polskich mundurów dla was nie mamy, za to automatów — „skolko ugodno”. Bardzo szybko się one przydały. Kanonada frontu pod Kostrzynem zlewała się co chwila z echem bliskich wystrzałów dywersantów, rabusiów i rozbitków z hitlerowskiej armii, przedzierających się za linię Odry. Garska SOK-istów nie mogła zapewnić spokoju pracy przybyłej tu ekipie wągrowieckich kolejarzy. Nieraz szukali więc pomocy u żołnierzy pułkownika Draguna: gdy hitlerowska grupa likwidowała polski posterunek kolejowy, gdy wystraszone chłop gnał z pobliskiej wsi z wołaniem o ratunek dla siebie i opuszczonych domostw...

Kujawski i towarzysze nie mieli kwalifikacji na pionierów. Wielu z nich zetknęło się z kolejniactwem na kilkudniowych kursach. Ich największym walorem był zapał i... nieznośność rzeczy. Dopiero w robocie zdobywali kolejarskie dystynkcje, w niebezpieczeństwie — doświadczenia pioniera. Dla Kujawskiego decydujący stał się jeden dzień, gdy ze spóźnioną odsieczą dotarł do zagrody wójta z Rudnicy. Na murawie zastał tylko zwłoki całej rodziny ułożone w krzyż i kartkę od bandy: „Tak będzie z wszystkimi pepercami”. Wtedy wstąpił do partii.

Dzisiaj Franciszek Kujawski jest sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR w Gorzowie. Robi „magisterkę” i jak sam powiada — nie ma czasu na pisanie wspomnień. Mówi zresztą, że nie on był tu pierwszy. Odsyła do inżyniera Gramsa i Macierzewskiego, członków pierwszych polskich ekip z Wągrowca, które przybyły do Gorzowa, by organizować nowe życie.

★

Już 3 lutego, podczas końcowych walk o wyzwolenie Gorzowa, zjawił

obecna budowa. Dalsza rozbudowa samej huty — o dwie hale elektrolizy — rozpocznie się prawdopodobnie po roku 1970. Wcześniej jeszcze powstanie dla naszych potrzeb fabryka tlenku glinu, który teraz trzeba sprowadzać z Węgier.

Na razie, obok budowy, problemem jest przygotowanie kadr hutniczych. Szkoła przyzakładowa — oczko w głowie dyr. Sallera, dała już pierwszych 30 absolwentów. Część sprowadzi się ze Skawiny i z innych hut, część doszkoli się spośród robotników budowlanych. Zacznie się formować nowa grupa zawodowa — hutników metali nieżelaznych. Będą się kształtować nowe stosunki społeczne, przecież nie do pomyślenia kiedyś, w malinickiej gromadzie.

ZBIGNIEW MIKA

pierwsze sklepy. Kupowano tam żywność za bony, drukowane u Kallinowskiego. Mieli im to zresztą za złe w Banku Narodowym, że niby Gorzów — chce tworzyć własną republikę... Spalili potem uroczyste bony, ku obecnym żmartwieniom ko lekcjonerów i kustosa gorzowskiego muzeum.

W maju liczba Polaków urosła już do tysiąca. Wtedy otwiera swe podwoje pierwsza, polska szkoła. Narastała wielka ludzka fala, szła ze wschodu i zachodu, rozbijając się na drobne grupki osadników. Do końca 1945 roku w mieście było ich 8 tysięcy, a na gorzowskiej wsi osiedliło się już 3.800 rodzin. Nastąpił czas odbudowy.

Właściwy rozwój gospodarczy zaczął się dla tej ziemi dopiero po 1955 roku. Po kilku latach budowy, uruchomiły produkcję Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych. Był to pierwszy, polski stylon, sukces całej naszej chemii. Gorzowskiemu przemysłowi zaczęły też nadawać ton Zakłady Mechaniczne, produkujące części i maszyny rolnicze oraz Zakłady Jedwabnicze. Gorzów stał się dziś wielkomiejskim, 66-tysięcznym ośrodkiem przemysłowym. Już w 1958 roku przekroczył on przedwojenną liczbę mieszkańców, osiągając 50.000 ludności. Podczas gdy przedwojenny przemysł niemiecki zatrudniał tu 9.000 pracowników, to już w 1958 r. — w gorzowskich zakładach przemysłowych pracowało ponad 14.000 osób, a w roku ubiegłym — przeszło — 17.000. Niezwykle przy tym było tempo rozwoju: w 1955 r. wartość produkcji przemysłu w Gorzowie wynosiła 350 mln. zł, w pięć lat później — ponad 1,5 mld. zł, a w roku bieżącym wyniesie 3,5 mld. zł!

★

Po dwudziestu latach, z grup wągrowieckich pozostało w Gorzowie kilkunastu ludzi. Ci, co tutaj są — dali temu miastu najwięcej — samych siebie. Po starych czasach pozostała jedynie nazwa dzielnicy — Poznańska i ulica, przy której najpierw pracowali, imienia Pionierów. Tylko w pamięci najstarszych mieszkańców Gorzowa pozostało jeszcze trochę wspomnień.

Pionierzy dawno już ustabilizowali się. Tutaj stworzyli dom, tu urodzili się ich dzieci, chodzą do szkół, pracują. Po kilku latach Macierzewski mógł się w pełni oddać społecznej działalności w sporcie, który tu rozwinął. Inni prowadzą spokojne życie emerytów, pełnią zwykle, społeczne, zawodowe i rodzinne powinności.

Tylko inżynier Grams, architekt miejski, pozostaje przy niezmienionym zajęciu — jak budował Gorzów w 1945 roku, tak buduje obecnie. Zmieniał się za to oblicze miasta: w miejscu ruin powstały skwery, w miejscu skwerów ogołoconego śródmieścia, powstaje piękne, nowoczesne centrum. Grams jak przed dwudziestu laty, pracuje w tym samym pokoju, siedzi nawet na tym samym krześle. Przybyło mu siwych włosów, lecz nie ubyło energii i fantazji. Z jednakowym ożywieniem mówi o najnowszej historii i przyszłości Gorzowa. Już go widzi w urbanistycznej perspektywie następnych dwudziestu lat, jako 130-tysięczne miasto. Słusznie. Dla wszystkich tamta przeszłość, warta jest dnia dzisiejszego i najbliższej przyszłości.

PROBLEMY KOSMICZNEGO NAPĘDU

Przyzwyczailiśmy się już do pojęcia „rakieta”. Wiemy, że działa na zasadzie odrzutu gazów, że wynosi statek kosmiczny na orbitę. Ostatnio jednak coraz częściej słyszy się o innych rodzajach napędu. Np. korektury lotu pędzącej obecnie w kierunku Marsa radzieckiej stacji międzyplanetarnej „Sonda-2” dokonano za pomocą silników plazmowych. Po orbicie okołoziemskiej krąży amerykański aparat kosmiczny „SNAP-10-a” z miniaturowym reaktorem atomowym, który napędza silnik jonowy. Do czego służą i na jakiej zasadzie działają te i inne nowe rodzaje napędu?

Trudny start

Statek kosmiczny, którego zadaniem będzie nie tylko lot po orbicie okołoziemskiej, lecz również dotarcie do innego ciała niebieskiego i powrót na Ziemię, oczywiście musi mieć olbrzymie rezerwy siły ciągu. Oto np. prędkości, jakie musi rozwinąć dla wykonania odpowiednich zadań: wejście na orbitę okołoziemską — 7,8 km/sek., wyjście ze sfery przyciągania Ziemi — 11,2 km/sek., start powrotny z Księżyca — 2,4 km/sek., z Marsa — 5,27, z Wenus — 10,4, zmiana płaszczyzny orbity o 45° — około 6 km/sek. Aby wykonać kilka takich manewrów, statek musi dysponować siłą ciągu odpowiadającą sumie ich prędkości.

A więc najtrudniejsze są starty, i z nimi doskonale radzą sobie obecne rakiety na paliwo chemiczne. Ale tylko przy jednorazowych manewrach startowych. Zabranie zaś ze sobą paliwa na start powrotny i inne manewry zwiększa początkową masę startową rakiety do tego stopnia, że na obecnym etapie konstruktorzy nie są w stanie zapewnić jej odpowiedniej prędkości startowej. Stąd też myśl konstruktorska poszła w dwóch kierunkach: albo startować do lotów międzyplanetarnych z pośredniej stacji orbitalnej, gdzie statek mógłby zaopatrzyć się w dodatkowy zapas paliwa, albo znaleźć inne, bardziej efektywne źródła napędu, dające większy ciąg przy mniejszym obciążeniu.

Z tych nowych źródeł największe perspektywy ma energia atomowa. Zanim człowiek nauczy się w sposób kontrolowany korzystać z energii termojądrowej, już dziś proponuje się wykorzystanie wybuchów jądrowych dla napędu ciężkich aparatów kosmicznych. Tak np. amerykański projekt „Orion” przewiduje zastosowanie dużej liczby małych bomb atomowych o ekwiwalencie trotylowym do 0,1 kiloton. Powodując ich eksplozję w odstępach co pół sekundy na odległości 30—300 m od odpowiednio ekranowanego aparatu kosmicznego, można uzyskać nawet drugą prędkość kosmiczną (prędkość ucieczki od Ziemi). Proponuje się również dokonywanie eksplozji jeszcze mniejszych bomb atomowych wewnątrz specjalnego zbiornika z wodą, w celu przekształcenia jej w przegrzaną parę, która ulatując przez dyszę zapewni odpowiedni ciąg.

Plazma i jony

Ale prócz silników o dużym ciągu aparat kosmiczny musi być wyposażony w mniejsze urządzenia napędowe, niezbędne np. dla spotkania z innymi aparatami kosmicznymi i oderwania się od nich, dla kierowania lotu w kierunku Księżyca i innych planet, dla wytracenia prędkości, miękkiego lądowania itp. Można też silnik o małym ciągu wykorzystywać do stałego przyspieszania lotu w drodze ku innym planetom. Dzięki temu lot np. do Marsa i z powrotem można skrócić z kilkunastu do kilku miesięcy.

Jako silniki o małym ciągu mogą być wykorzystane również silniki rakietowe na paliwo ciekłe i stałe. Tego właśnie typu były silniki korekcyjne i hamujące statków serii „Wostok”, „Mercury”, „Woschod”, „Gemini”. Ale takie urządzenia silowe wymagają zabrania z Ziemi odpowiednich zapasów paliwa. Przy dalszych lotach byłoby to nieekonomiczne i dlatego obecnie czyni się próby z urządzeniami innego typu, m. in. z napędem elektrorakietowym (silniki plazmowe i jonowe).

W obu tych wypadkach podstawowym źródłem energii jest energia elektryczna uzyskiwana z akumulatorów i baterii słonecznych (radziecka „Sonda-2”), bądź też z pokładowego reaktora atomowego (amerykański „SNAP 10-a”).

W silniku plazmowym energia elektryczna ogrzewa do wysokiej temperatury substancję roboczą, przekształcając ją w plazmę, która z olbrzymią prędkością wypływa przez dyszę w przestrzeń, dając statkowi siłę ciągu. Oddziałując odpowiednio polem elektrycznym i magnetycznym można zwiększyć prędkość upływu plazmy, a tym samym siłę ciągu.

W silniku jonowym odpowiednia substancja robocza (np. cez) jonizuje się przy kontakcie z nagrzaną metalową porowatą płytką (np. z wolframu). Następnie jony są ogniskowane i uzyskują olbrzymie przyspieszenie w polu elektrycznym. Im większe uzyska się przyspieszenie, tym większym ciągiem dysponuje aparat.

Istnieje też wiele innych sposobów zapewnienia statkowi małego ciągu w przestrzeni kosmicznej. Można w tym celu wykorzystać m. in. ciśnienie światła słonecznego. Wystarczy wyposażyć statek kosmiczny w „żagiel” (odbijający światło ekran) o odpowiednich wymiarach, by uzyskać stały darmowy napęd.

Wszystkie te metody są obecnie opracowywane i doskonalone, by już w niedługim czasie mogły służyć zdobywcom Kosmosu.

FILM

„PINGWIN”. Film produkcji polskiej. Scenariusz i reżyseria: Jerzy Stefan Stawiński. Zdjęcia: Stefan Matyjaszkiewicz. Muzyka: Krzysztof Komeda. Wykonawcy: Andrzej Kozak (Pingwin) Krystyna Konarska (Baśka), Zbigniew Cybulski (Łukasz), Janina Kaluska - Szydłowska i Mieczysław Milecki (rodzice Pingwina), Wojciech Duryasz (Adaś Bączek), Elżbieta Świecicka i Andrzej Szczepkowski (rodzice Adasia), Stanisław Tym (Osetnik) i inni.

Pozytywny bohater nie jest modny. Ze świecą w reku i to na próżno można szukać twórców — nie tylko filmowców — którzy by programowo stawiali sobie zadanie ukazania moralnego wzoru do naśladowania dla współczesnego człowieka. A zwłaszcza dla młodzieży. Bo przecież — mówi się — nasza młodzież jest zła, zepsuta cynicznie, nie docenia tego co jej „w żłoby dano”, co wywalczyło pokolenie starszych, dziś już zmęczonych wczorajszymi bohaterów. Młodzi przychodzą oto na qołowe, mają się tylko uczyć i zachowywać przyzwyczajenia — jak powiada w filmie ojciec Pingwina, ale oni nawet tego nie chcą czy nie mogą dotrzymać.

Jerzy Stefan Stawiński, wybitny scenarzysta plejady najlepszych filmów tzw. polskiej szkóły filmowej, wziął się także do reżyserki i już w pierwszym swoim filmie „Rozwodów nie będzie” zajął się współczesną młodzieżą. Już tam zaprezentował jakiś inny

stosunek do tej młodzieży, stosunek ciepły, życzliwy, i to bardzo dobrze. Czymże obiektywny, zaprezentował może najważniejsze — wiarę w współczesnego młodego Polaka, u którego pod przykrywką cynicznej może nawet niekiedy pożytkiw uczucia szlachetne i godne pochwały.

Taki sam stosunek do młodzieży przejawia Stawiński w drugim swoim filmie samodzielnie pomyślanym (scenariusz) i samodzielnie zrealizowanym (reżyseria). Wprawdzie mógłby ktoś powiedzieć, że ilościowo w tym filmie górują źli, zepsuci i cyniczni,

reprezentuje jedno i drugie, i wyznawanych zasad moralnych jawi się jako coś zupełnie oczywistego, ludzkiego, co przyjmują się bez zdziwienia i akceptuje w całej rozciągłości.

To wszystko nie jest wcale tak łatwo pokazać, czego dowodzą powojenne dzieła naszej kinematografii. Stawiński dobrał sobie oryginalny zestaw aktorski, w którym rolę czołowego grają debiutanci, a m. in. Zbigniew Cybulski, Mieczysław Milecki i Andrzej Szczepkowski, z których pierwszy zagrał świetnie, drugi zadawałajaco, a trzeci kiepsko. Natomiast całowita debiutantka jest popularna piosenkarka Krystyna Konarska, która swojej filmowej Baśce dała wybitną urodę, wyniosłość, ale i powściągliwość, coś co daje obietnice dobrych cech charakteru, ukrytych pod maską pewnej ośchłości — więc wszystko właściwie co było tej roli potrzeba. Andrzej Kozak grywał już wprawdzie w filmie nie raz, ale zawsze tylko w epizodach. W „Pingwinie” gra pierwszy raz rolę tytułową i wywiązuje się z zadania znakomicie.

Film jest także osadzony w bardzo konkretnej rzeczywistości, jest bardzo warszawski, ma sporo watorów rozrywkowych (m. in. świetne, dowcipne dialogi). Jest to na pewno jeden z najlepszych polskich filmów ostatnich lat.

Mieczysław Skąpski

W poszukiwaniu pozytywnego bohatera

których jest zarażają nad szlachetnymi, których jest tylko jeden czy ewentualnie dwoje, ale jest to prawda tylko ilościowa. Stawiński tak wygrał wszystko, co było tutaj do wygrania, że cała sympatia, uwaga i uznanie widzów musi się skupić tylko na Pingwinie, tym nieco cherlawym, niewydarzonym i wymięwanym (do czasu) chłopaku o lwim sercu i qołobiej dobroci.

Nie wiem, dlaczego Stawiński w wywiadzie prasowym zrzekał się, że „nie ma to być film obyczajowy”, lecz tylko „opowieść o romantycznym bohaterze”. Uważam, że film

Myślę, że Stawiński wytycza „Pingwinem” szlak, po którym mogłoby pójść adyby zechcieli inni nasi filmowcy. Pokazuje bowiem, że można udać się w poszukiwanie romantycznego, pozytywnego bohatera współczesności, znaleźć go i pokazać robiąc jednocześnie dobry, a może i bardzo dobry, film, w którym nie ma żadnego naciągania, udawania, ubierania w pseudoartystyczny kształt frazesów i banalów, gdzie wszystko dzieje się naturalnie, tak jak możemy to na co dzień namacalnie potwierdzić w naszym doświadczeniu, gdzie qołowość do poświęceń w imię miłości

Eugeniusz Paukšta

O młodych i dla młodych

Że to już maj, kipiący wiosną, że tuż, tuż przed nami „Dni Oświaty, Książki i Prasę”, słuszne chyba, aby w dzisiejszym przeglądzie zająć się literaturą o młodych i dla młodych. Trzeba zatem sięgnąć do książek „Iskier”, tak konsekwentnie dbających o młodego odbiorcę literatury.

Ukazał się chyba piąty z kolei, „Almanach młodych”, jedna z najciekawszych i najpożrebniejszych spośród wydawanych u nas tego rodzaju pozycji. Co roku śledzę z zainteresowaniem teksty, szukając potem ich autorów wśród nowo ukazujących się książek. Zaskakujące, dla jak wielu z nich „Almanach” jest miejscem startu, miejscem wcale nie najgorszym. Obecny tom przynosi prozę i poezję, zahacza już też eseje Tadeusza Burka o krytykę. Wstęp Stanisława Zielińskiego o Artura Międzyrzeckiego. A teksty? Bardzo symptomatyczne dla nastrojów i dażeń nowego pokolenia literackiego. Że nie wszystkie w pełni dojrzałe? W końcu to prawo debiutu.

I druga, potrzebna pozycja „Iskier” — „Młode głosy”, wiersze młodych poetów radzieckich, pod redakcją i ze słowem wstępnym Jana Śpiwaka.

To już nie debiutanci, ale poeci z niejednego boju i z niejednym orderem na piersiach, przedstawiciele tej generacji, która z taką pasją wnosi nowe, ożywcze wiatry do radzieckiej literatury, obok Achmadulinę, Wozniesińskiego, Jewtuszenki, Okudźawy, Roždiewieńskiego, Sołouchina, Winokurowa, szereg innych, mniej u nas znanych. Można wiele mówić o przemianach drażących społeczeństwo radzieckie, nie jednak nie odda ich pełni i głębiej, jak wład w przeźną poezję.

Skończyli już zaczęli o poezji i o wyborach, to oto przepiękny tomik „Album poezji miłosnej”, w opracowaniu Wiktora Woroszyńskiego, mieszczący wiersze stu jeden poetów, od Salomona po Borowskiego. Woroszyński poprzeczł występ każdego autora ciekawa notka informacyjna, wybiegająca daleko swa treścią poza informację, niekiedy są to świetne perełki myślowe, wyraz własnego widzenia poezji i jej wzlotów. Nakład? O zgrozo, tylko 20 tysięcy.

Dopiero pisałem o młodych, o „Almanachu”... A oto bardzo ciekawy, udany debiut Andrzeja Tworochliba „Małe punkty”. Zaskakuje znajomość realiów dnia dzisiejszego, spowodowana dosyć zmiennymi kolejami losu młodego autora, jadającego już chleb w niejednym miejscu. Obok nieco nonszalanckiej ośchłości — jakaś tam liryczność, jakie pragnienie wyłapywania wokoło wszystkiego, co wybiega za szablony i banal!

Jerzy Krzysztoń w tomiku opowiada „Złote gody” jeszcze raz udo-

wadnia, iż należy do ścisłej czołówki młodego pokolenia pisarskiego. Jak zawsze, i tutaj interesują autora mocne spiecia żądające od człowieka ujawnienia jego prawdziwej postawy moralnej. Zarówno wtedy, gdy Krzysztoń sięga do tematyki okupacyjnej, jak gdy mówi najbezpośredniej o współczesności, interesują go zawsze reakcje ludzkie, usiłując odkrywać dno ich psychiki, zaskakujące często ich samych.

I jeszcze dwie pozycje z atrakcyjnych „Iskrowych” serii. Długi zestaw tomów z serii „Naokoło świata” uzupełnia „Hobo” Krzysztofa Baranowskiego, żywo, dowcipnie podane wspominki z łazikowskiej włóczęgi autostopem po najdalszych zakątkach Ameryki. Praca na przemian z przetrzniętymi z jednego krańca ładu na drugi, świetne obserwacje, miqawki zaskakujące dowcipnymi puentami, oto z grubszą zawartością błyskotliwie napisanego tomiku.

Per Wästberga poznaliśmy już z jednej jego dokumentalno-reporterskiej pozycji. Obecnie w serii „Świat się zmienia” zapoznaliśmy się z bardzo obiektywnym, przez to może aż zaskakującym prawdziwym światem Republiki Południowo-Afrykańskiej z jego teza apartheidu, dzieląca najściślej czarnych od białych, „Na czarnej liście”, to jeden z najbardziej wstrząsających reportaży, ukazujących też oaze nonsensu i krzywdy, jaka jest Południowa Afryka.

Z KSIĄŻKA NA TY

Przeglądamy Prasę

Teorocznny 1 Maja zbiega się z 60 rocznica Rewolucji 1905 roku. By ocalić od zapomnienia przeżycia i doświadczenia ludzi, uczestników pamiętnych wydarzeń 1905 roku, „Współczesność” publikuje fragmenty ich wspomnień, obrazujące różne epizody tamtych lat.

1 MAJA 1905 ROKU

wspomina Jerzy Lewartowski — działacz SDKPiL:

„Najbardziej pamiętnym wystąpieniem 1905 roku jest dla mnie 1-Majowa demonstracja SDKPiL w Warszawie w Alejach Jerozolimskich. Grupa członków partii zebrała się na ul. Wroniej i pod czerwonym sztandarem ruszyła w kierunku ul. Żelaznej. Do demonstrantów po drodze przyłączyły się tłumy robotników, po czym ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru”, „Na barykady”, „Naprzód Warszawo”, udano się pod koszary pułku piechoty na ul. Złotej. Do żołnierzy, stojących w oknach przemówił z ramienia demonstrantów tow. Mieczysław Goldbaum. Wzywał ich, by nie strzelali do robotników, walczących o wspólną wolność. Pochód zawrócił następnie na ul. Żelazną i przez przejazd kolejowy skręcił w Aleje Jerozolimskie, w kierunku ul. Marszałkowskiej. Tu natknął się na oddział wojska, który, bez uprzedzenia, rozpoczął strzelać salwami, dokonując krwawej masakry bezbronných tłumów.”

NAJLEPSI

W przeddzień święta majowego redakcja „Włki Młodych” popularyzuje ciekawą i godną na-

śladowania metodę wyróżniania robotników. Narodziła się ona w warszawskiej Fabryce Przyrządów Precyzyjnych im. gen. Świerczewskiego. W jednej z alejek fabrycznych stoi galeria portretów robotników, zmieniana co roku.

„Miejsce w niej — pisze Jacek Dąbrowski — ofiarowuje portretowanemu nie dyrekcja — lecz zarząd. Motywami, argumentami są nie obliczenia ekonomiczne, ale wspólna opinia wszystkich najbliższych towarzyszy, o szerzej rozumianych wartościach człowieka. Co roku odbywa się tutaj plebiscyt i w efekcie tajnego głosowania, kilkadziesiąt osób otrzymuje honorowy tytuł „wyróżniającego się pracownika i kolegi”.

W fakcie ogłaszania plebiscytu, urządzanego publicznie i dostępnego dla wszystkich, w przebiegu ocen personalnych — autor widzi nową instytucję demokracji w samorządzie robotniczym. Każdy ma okazję osobiście zarekomendować wartościowych kandydatów do kadry kierowniczej — każdy ma okazję wyrazić umotywowaną dezaprobację wobec cudzych cech ujemnych. Omawiając szczegółowe warunki plebiscytu, autor zwraca uwagę, że jednostce nie uda się dokładnie zmierzyć, kto jest najbardziej wyróżniającym się kolegą, ale w masowym głosowaniu istnieje moment automatycznej korekty: zwycięzca zostaje faworyt większości, która rzadko się myli. O tym zaś, jak potrzebna to inicjatywa, świadczy wypowiedź jednego z pracowników:

„Pracuję już u „Świerczewskiego” piętnaście lat. Mam 28. I przez cały ten okres starałem się pracować dobrze, najlepiej, jak tylko umiałem. Marzyłem o takiej atmosferze pracy. I taką atmosferę zastałem tutaj. Nie chodzi o to, żeby kierownik miał dobrą opinię o pracowniku, chodzi mi o opi-

nie kolegów. Teraz wszystko, co robię — widzą i koledzy i kierownictwo. Chce się wtedy pracować więcej i lepiej.”

HISTORIA BEZ NAPOLEONA!

Pod takim prowokującym tytułem Jerzy Krasuski drukuje w „Kulturze” artykuł, w którym pisze o nieprzełamanych w praktyce historiograficznej wątpliwościach co do poznawalności i prawdziwości procesu historycznego. Autora niepokoi zwłaszcza nadmierny kult źródeł, wskutek czego historiografia nasza zajmuje się przede wszystkim osobami, a nie poszukuje prawdziwości procesu historycznego. Dotyczy to zwłaszcza dzieł politycznych. Formułując w związku z tym swe postulaty, Krasuski stwierdza:

„Historiografia powinna dążyć do takiej zwiększonej syntezy dzieł ostatnich sześciu tysięcy lat, w której nie wymieniono by żadnych nazwisk. Oczywiście, im bardziej synteza szczegółowa, tym nazwiska muszą być więcej, ale w żadnym razie nie wolno skrócić dokonywać tak, by pomijać zjawiska ogólne, a pozostawiać pewne nazwiska. Nazwiska symbolizują tylko pewne siły społeczne, twierdzenia zaś typu „Napoleon zwyciężył”, powinny oznaczać tylko skróty myślowe. Zredukowanie roli jednostki w historii, wykazywanie prawdziwości i konieczności, jest warunkiem rzeczywistego naukowienia historiografii, warunkiem, który jest dla marksistów oczywisty.”

5-LATKA I STOPA

„Nowa 5-latka może (...) dość poważnie różnić się od dotychczasowych naszych planów gospodarczych. Wydać się mianowicie, że lata 1966—1970 mogą charakteryzować się dość wysokim, i — co może jeszcze ważniejsze — dość wyraźnie dostrzeżanym tempem poprawy warunków życiowych społeczeństwa. Byłaby to zmiana nader istotna w stosunku do dotychczasowych planów wieloletnich.”

Taką tezę przedstawia na łamach „Tygodnika

Demokratycznego” Zygmunt Szeliq, który szansę tę upatruje w możliwościach nie tylko osiągnięcia, ale i przekroczenia projektowanego na następne 5-lecie 30-procentowego wzrostu i dochodu narodowego. To zaś byłoby kluczem do zwiększenia funduszu spożycia i realnej stopy życiowej.

DOCTUS ZNACZY — UCZONY

„Współczesność” poruszyła przemilczaną w publicznych dyskusjach sprawę jakości prac doktorskich w warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Autor artykułu A. J. Wierczkowski pisze, że jedna z prac doktorskich na AWF pt. „Wyniki sportowe a struktura psychologiczna drużyn piłki nożnej w Polsce” nasuwa wątpliwości natury merytorycznej, metodologicznej i formalnej. By poznać szczegóły, radzimy sięgnąć po „Współczesność”. Tu jednak chcielibyśmy odnotować, że autor nie żywi pretensji do autora pracy doktorskiej, lecz sady, że w sprawie tej: „zainteresowani odezwą się, bez wskazywania palcem i odpowiedzą nam, czym w istocie jest tytuł naukowy na AWF-ie?”

*

Ponadto: warto zwrócić uwagę na ciekawy wywiad z prezesem Polskiej Akademii Nauk, prof. dr. Januszem Groszkowskim, zamieszczony w „itd”, „Kierunki” zamieszczają artykuł Romualda Teyzerskiego o telewizji kolorowej (bardzo dużo interesujących informacji) i toczoną na tym telewojny między państwami całego świata. „Szpilki” przechwyciły propozycję Władysława Kopalińskiego, zgłoszoną na łamach „Życia Warszawy”: proponują, by czynność, jaką wykonuje obywatel, przenosząc się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu sleeping lub miejscówki w okresie przedświątecznym lub przedwakacyjnym, określać czasownikiem „orbisować”.

LEKTOR